

Przedsmak *piekła i nieba*

Howard Storm urodził się w 1946 r. w stanie Massachusetts.

Przez 20 lat był profesorem sztuki na Uniwersytecie Northern Kentucky. Jako ateista był przekonany, że śmierć jest definitywnym końcem istnienia człowieka. Jego ateizm przysłał jak bańka mydlana po doświadczeniu ciężkiej choroby i śmierci klinicznej podczas wakacyjnego pobytu w Paryżu w 1985 r. Największa telewizja katolicka na świecie EWTN wiosną 2003 r. wielokrotnie powtarzała wywiad z prof. Howardem Stormem.

W obliczu cierpienia i śmierci

Latem 1985 r. prof. Howard Storm razem ze swoją żoną i grupą studentów przebywał w Europie, zwiedzając najważniejsze centra sztuki. Ostatnim etapem ich podróży był Paryż. W przeddzień odlotu do USA zwiedzali wystawę sztuki współczesnej w centrum Georges'a Pompidou.

Było to dla nich jedno z najważniejszych wydarzeń podczas europejskiej podróży. Następnego dnia rano Howard Storm poczuł przeszywający ból żołądka, jakby został ugodzony pociskiem. Było to tak wielkie cierpienie, że nie mógł powstrzymać się i dosłownie wył z bólu. Wezwany lekarz stwierdził przebiecie dwunastnicy, dał zastrzyk morfiny w celu uśmierzania bólu i skierował na natychmiastową operację.

Po przewiezieniu do szpitala prześwietlenie wykazało, że w dwunastnicy jest duży otwór spowodowany najprawdopodobniej przez wrzody. Aby zapobiec śmierci, konieczna była natychmiastowa operacja. W miarę upływu czasu morfina przestawała działać. Oczekując na operację, prof. Storm intuicyjnie czuł, że są to ostatnie chwile jego życia. Rozpaczliwie prosił o pomoc personel szpitala. Ponieważ był to czas wakacji i wielu lekarzy przebywało na urloпах, Storm musiał czekać na operację kilkanaście godzin. W doświadczeniu porażającego bólu minuty wydawały mu się tak długie jak godziny. Był zrozpaczony brakiem zainteresowania i obojętności personelu. Stawiał sobie pytania, co stanie się z jego żoną i dwójką dzieci, z jego obrazami, domem, ogrodem i wszystkimi drogimi mu rzeczami, jeżeli umrze. Myśl o śmierci przerażała go, miał dopiero 38 lat i był dobrze zapowiadającym się artystą. Za wszelką cenę chciał żyć, ale gwałtownie tracił

siły, z wielkim trudem mógł oddychać, podnieść głowę i coś powiedzieć. Po 10 godzinach pobytu w szpitalu pielęgniarka powiadomiła go, że chirurg poszedł do domu i operacja może się odbyć dopiero następnego dnia rano. Ta informacja była dla Storma jak wyrok śmierci. Wiedział, że do tego czasu nie przeżyje. Ze łzami w oczach pożegnał się ze swoją żoną, mówiąc, że bardzo ją kocha. Objęła go swoimi ramionami i szlochając, całowała. Storm był pewny, że śmierć jest końcem świadomości i istnienia człowieka. Nie wierzył w istnienie Boga, a tym bardziej w niebo, czyściec i piekło.

Przedsmak śmierci

Zmiażdżony ogromem cierpienia, Storm zamknął oczy i powoli zaczęła ogarniać go przerażająca ciemność; czuł, że zapada się w otchłań unicestwienia. W pewnym momencie ze zdziwieniem stwierdził, że jednak dalej żyje i posiada wyjątkowo klarowną samoświadomość oraz percepcję otaczającej go rzeczywistości. Był świadomy swoich problemów z żołądkiem, jednak nie odczuwał już bólu, miał tylko żywą o nim pamięć. Ze zdziwieniem zorientował się, że stoi obok swojego łóżka w sali szpitalnej i widzi leżące nieruchomo własne ciało. Obok siedziała z pochyłą głową jego żona, Beverly. Pragnął za wszelką cenę skomunikować się z nią,

jednak bezskutecznie, gdyż w ogóle nie reagowała, tylko siedziała nieruchomo, wpatrując się w podłogę. Sala szpitalna wydawała mu się jaskrawo oświetlona, wszystko widział w najdrobniejszych szczegółach i jak nigdy dotąd, niezwykle ostro i jasno. Był bardzo zirytowany, że nie mógł nawiązać kontaktu ze swoją żoną. W pewnym momencie usłyszał głosy: *Wyjdź stąd natychmiast. Pospiesz się. Czekamy tu na ciebie od dawna, aby ci pomóc.* Czuł, że jeśli opuści ten pokój, to nigdy już do niego nie wróci. Tajemnicze głosy nalegały: *Nie będziemy w stanie ci pomóc, jeżeli stąd nie wyjdiesz.* Postanowił ich posłuchać. Miał wrażenie, że znalazł się w czymś na podobieństwo ogromnego zamglonego holu, który podświadomie budził lęk. Nie widział szczegółów, ale wydawało mu się, że przemierza jakąś tajemniczą przestrzeń. Zobaczył w dużej odległości niewyraźne postacie przypominające ludzi. Byli bladzi, a ich ubrania miały szary kolor. Pragnął zbliżyć się do nich, ale okazało to się niemożliwe, gdyż nieustannie oddalali się od niego. Zdawał sobie sprawę, że natychmiast musi się poddać operacji i że ci ludzie są dla niego jedyną nadzieją. Nieustannie powtarzali oni, że jeżeli pójdzie z nimi, to wtedy znikną wszystkie jego problemy. W miarę upływu czasu ciemności pogłębiały się, a liczba krążących wokół niego złowrogich postaci była

coraz większa. Ich obecność napełniała go rosnącym przerażeniem, gdyż emanowały nienawiścią, podstępem i kłamstwem. Storm, oglądając się za siebie, widział w odległości jakby kilku mil swoje ciało leżące na łóżku szpitalnym i siedzącą obok żonę. Odniósł dziwne wrażenie, że dla niego czas się skończył, a to, czego doświadcza, nie jest jakimś koszmarnym snem, lecz pełną grozy rzeczywistością. Tajemnicze postacie, które go otaczały i prowadziły do nieznanego mu celu, zaczęły wypowiadać straszne przekleństwa i obelgi pod jego adresem. Mówiły z szyderczym uśmiechem, że już niedługo dotrą na miejsce. Howard zorientował się, że przebywa w przerażającym, pełnym grozy otoczeniu. Uświadomił sobie beznadziejność sytuacji, w jakiej się znalazł. Postacie z bliska miały straszny wygląd. Stawały się coraz bardziej agresywne, wśród bluźnierstw i przekleństw poddawały go najrozmaitszym torturom. Istoty te były całkowicie pozbawione współczucia, opanowane żądzą nienawiści i nieokiełznanego okrucieństwa. Storm zrozumiał, że to są ludzie potępieni, którzy w czasie życia na ziemi odrzucili i znienawidzili Boga, stając się stuprocentowymi egoistami. Bezskutecznie próbował przed nimi się bronić, ale wywoływało to z ich strony jeszcze większą agresję i szyderstwa. Dla Storma była to sytu-

acja makabrycznego wprost cierpienia i przerażającej beznadziei, jakich jeszcze nigdy dotąd nie doświadczył. W pewnym momencie usłyszał wewnętrzny głos, wzywający go do modlitwy, do prośby do Boga o pomoc. Początkowo odrzucał tę myśl, ale wezwanie do modlitwy stawało się coraz bardziej naglące. Storm nie modlił się przez całe swoje dorosłe życie i dlatego nie wiedział, jak to się robi. Przypomniał sobie jednak fragmenty modlitwy *Ojcze nasz* oraz inne proste formuły z czasów dzieciństwa i zaczął je powtarzać. Ku swojemu zdziwieniu zauważył, że gdy nieporadnie próbował się modlić, odrażające postacie zaczęły w popłochu uciekać. Krzyczały z wielką wściekłością, że niepotrzebnie się modli, bo i tak go nikt nie usłyszy, gdyż Bóg nie istnieje. Straszły, że dopiero teraz się z nim rozprawią, wypowiadając przy tym straszne bluźnierstwa pod adresem Boga i Matki Najświętszej. Storm nieustannie powtarzał słowa modlitwy i doświadczał jej wielkiej mocy, widząc, z jaką wściekłością złe duchy w popłochu uciekały od niego. Zrozumiał, że gdyby przestał zwracać się do Jezusa, natychmiast by wróciły i wtedy na nowo rozpoczęłyby się koszmar duchowej męczarni, która w swoim okrucieństwie była tak straszna, że w porównaniu z nią cierpienie fizyczne, jakiego doświadczył w szpitalu, było nikłe.





Sąd nad sobą

Kiedy Storm powtarzał słowa modlitwy, ujrzał siebie w prawdzie i ocenił, co w minionym życiu było dobre, a co złe. Uświadomił sobie, że przez całe ziemskie życie stawiał pomnik największemu bożkowi, jakim był jego egoizm. Całkowicie skoncentrowany na sobie, za wszelką cenę chciał stać się sławny i pragnął, aby jego obrazy były oglądane i podziwiane przez ludzi na całym świecie. Teraz zrozumiał, że jego stosunek do rzeźb, obrazów, które posiadał w swojej kolekcji, a także do rodziny, domu był niewłaściwy i że cały system wartości, którym kierował się w życiu, był tylko przedłużeniem jego egoizmu. To właśnie skoncentrowanie na sobie upodabniało go do tych odrażających istot, które wprowadziły go w rzeczywistość niewyobrażalnego cierpienia. Wszystko to, co do tej pory tak bardzo cenił i co nadawało sens jego życiu, teraz nie miało już żadnego znaczenia. Ogarnął go wielki wstyd i żal za dotychczasowy stosunek do Boga i ludzi. Wprawdzie nie był złodziejem, nikogo nie zamordował, respektował prawo i niepisane reguły cywilizowanego życia, ale to było za mało, aby żyć życiem godnym człowieka. Jego religią i normą życia był egoizm i bezwzględny indywidualizm, a współczucie dla innych znakiem słabości. Uświadomił sobie także, że przez całe życie nosił ukrytą złość i niechęć do przebaczenia własnemu ojcu oraz wrogość do

sytuacji i rzeczy, których nie mógł kontrolować. Teraz był całkowicie bezradny i bezsilny. Zrozumiał, że niewiele już mu brakowało, aby stać się stuprocentowym egoistą, tak jak ci zionący nienawiścią potępieńcy, i dołączyć na całą wieczność do ich grona.

Światło nadziei

Świadomość zmarnowanego życia spowodowała, że Howarda ogarnął przejmujący żal z powodu tego wszystkiego, co z własnej woli złego myślał i czynił, a co wynikało z jego egoizmu i jeszcze bardziej go pogłębiało. I właśnie wtedy usłyszał swój śpiew z czasów dzieciństwa. Był to nieustannie powtarzany refren: *Jesus mnie kocha... da, da, da*. Jako dziecko śpiewał tak często podczas zajęć w szkółce niedzielnej. W tej przerażającej ciemności, która go teraz otaczała, bardzo pragnął obecności kogoś, kto bezwarunkowo go kocha i zatroszczy się o niego. Śpiew *Jesus mnie kocha* stawał się jego modlitwą i największym pragnieniem całej jego istoty. Całym sobą czuł, że w tej beznadziejnej sytuacji miłość Jezusa jest dla niego jedynym ratunkiem i wybawieniem. Dzięki tej modlitwie zaczęło budzić się w nim światło nadziei. Po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu pragnął gorąco, aby okazało się prawdą, że Jezus go kocha, i dlatego zaczął całym sobą wołać: *Wybaw mnie, Jezu!* W pewnym momencie zauważył w otaczającej

„Miłosierdzie Boże osiąga nieraz grzesznika w ostatniej chwili, w sposób dziwny i tajemniczy. (...) Dusza, oświecona promieniem silnej łaski Bożej ostatecznej, zwraca się do Boga w ostatnim momencie z taką siłą miłości, że w jednej chwili otrzymuje od Boga przebaczenie win i kar. O, jak niezbadane jest miłosierdzie Boże...”
(Dz 1698)

go ciemności maleńkie światelko, jakby ledwie widocznej gwiazdy, która powoli stawała się coraz jaśniejsza i większa. Sprawiała wrażenie, że zbliża się do niego z wielką prędkością. Zafascynowany jej blaskiem nie mógł od niej oderwać wzroku. Światło to było jaśniejsze od słońca czy błyskawicy i piękniejsze od czeokolwiek, co do tej pory widział. Kiedy do niego dotarło, zorientował się, że nie jest to żadna gwiazda, tylko żywa Osoba, która emanuje niesamowitym światłem

miłości. To był zmartwychwstały Jezus Chrystus, Zbawiciel i Pan całego wszechświata. Howard Storm został ogarnięty Jego miłością. W jej świetle ujrzał ogrom swoich grzechów, całe zło spowodowane przez jego ateizm, ale pomimo bólu wynikającego z prawdy o sobie, czuł, że jako marnotrawny syn jest kochany miłością, która przebacza wszystkie grzechy, lecz największe rany i przywraca utraconą godność dziecka Bożego. Zrozumiał, że jedynym koniecznym warunkiem, aby to mogło się stać, jest ufność i zgoda człowieka, aby Chrystus mógł go kochać i uzdrawiać. Howard doświadczył miłości i miłosierdzia Boga w sposób tak intensywny, że nie znalazł w ogóle słów i porównań, aby swoje przeżycie wyrazić ludzkim językiem. Płakał ze szczęścia i z żalu za grzechy. Czuł się kochany, akceptowany mimo swoich licznych grzechów. Jezus Chrystus wziął go w swoje ramiona, aby go przenieść z tej mrocznej i budzącej grozę rzeczywistości, która prowadziła wprost do piekła. Storm miał wrażenie, jakby Zbawiciel pokonał nieskończony dystans oddzielający światło od ciemności, miłość od nienawiści, prawdę od kłamstwa, wolność od całkowitego zniewolenia. W tej nowej, niewyobrażalnie pięknej rzeczywistości, w której życie jest miłością, Storm czuł się bardzo onieśmieszony i zawstydzony stanem swojego czło-

wieczności. Czuł się w obliczu świętości Boga jak ohydna szmata, którą trzeba wyrzucić do śmieci. Wiele razy w swoim życiu nie tylko zaprzeczał, ale i drwił z prawdy, że Bóg istnieje i jest Miłością. Tysiące razy używał imienia Boga jako przekleństwa. Chciał być jedynym centrum całego wszechświata i samemu decydować o tym, co jest dobre, a co złe, kierując się jedynie egoizmem. Mając świadomość tych oraz innych, popełnionych przez siebie grzechów, pomyślał, że znalazł się tu przez pomyłkę. I wtedy usłyszał słowa Jezusa kierowane bezpośrednio do jego umysłu: *To nie jest pomyłka, właśnie tutaj ma być twoje miejsce. Musisz się jeszcze przygotować, dojrzeć i oczyścić.* Na prośbę Jezusa pojawiły się jasne istoty, promieniujące radością i miłością. Były to duchy czyste, anioły, które komunikowały się przez bezpośrednie przekazywanie myśli. Cokolwiek Storm pomyślał, one natychmiast o tym wiedziały. Jego bezpośredni opiekun, Anioł Stróż, oznajmił mu, że musi wrócić do ziemskiego życia, że nie jest jeszcze gotowy, aby przejść do wieczności. Uświadomił mu również, że Pan Bóg obdarzył wszystkich ludzi zdolnością do przyjęcia lub odrzucenia Jego miłości, która jest całkowicie wolnym i bezinteresownym darem, dlatego może być tylko przyjmowana w całkowitej wolności, przez ufną i szczerą modlitwę.

Z tego powodu właśnie ludzie powinni się dużo modlić. Anioł Stróż tłumaczył również Stormowi, żeby kochając, nie oczekiwał jakiegokolwiek nagrody lub innych korzyści, tylko pragnął jednego – by w całkowitej wolności akceptował i wypełniał Bożą wolę, bo tylko w ten sposób będzie stawał się dzieckiem Boga i szedł najprostszą drogą do nieba.

Całkiem nowe życie

Kiedy Anioł Stróż skończył mówić, Howard zorientował się, że leży w łóżku i jest już po operacji, a pielęgniarka przemyma ranę pooperacyjną na jego brzuchu ciepłą wodą z mydłem.

To doświadczenie z pogranicza śmierci całkowicie zmieniło Storma, całą jego dotychczasową hierarchię wartości i sposób myślenia. Z ateisty stał się człowiekiem żywej wiary i modlitwy. Do dnia dzisiejszego Howard Storm nieustannie daje świadectwo, że tylko ufając i wierząc Bogu, człowiek staje się rzeczywiście wolnym i zdolnym do bezinteresownej miłości, i że tylko wtedy, gdy jednoczy się z Bogiem przez wiarę, która działa przez miłość, człowiek osiąga prawdziwe szczęście, staje się świętym, a więc idzie drogą, która prowadzi prosto do nieba.

M.P. ■